



Kryminał z myszką

14

SMUGA GROZY

DR JERZY KOSTRZEWA
PROWADZI ŚLEDZTWO

T a d e u s z
K o s t e c k i

Tadeusz Kostecki

SMUGA GROZY

Kryminał z myszką – Tom 14

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-49-6

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS TREŚCI

Dom na wzgórzu

Ten, który nie powrócił, i ten, który nie przybył

Partia brydża i inne rzeczy

Wściekły kot

Martwy punkt

Dzień bywa niekiedy straszniejszy od nocy

Woda zaczyna opadać

Po świetle przychodzi... noc

W matni

Łącuch dowodów

Światła w mroku

Myślenie to ostatecznie też zajęcie

Drapieżnik pokazuje pazury

DOM NA WZGÓRZU

I

Szosa czerniała żyłami głębokich pęknięć, miejscami nawierzchnia była całkowicie pokruszona – wóz podskakiwał tam niczym na piargach, ale trafiały się również odcinki, gdzie pokrywająca gładki asfalt wilgoć lśniła jak zamarła toń rzeki.

Autostrada prowadząca do samotnej leśniczówki, zagubionej wśród lasów? Na mapie nie było żadnych innych obiektów, które by mogły wchodzić w rachubę. Na pierwszy rzut oka to nie miało sensu, ale jakiś sens musiał przecież być. Wy tłumaczenie przyszło znacznie później: wśród przerzedzonych drzew mignęła przysadzista kopuła szarego betonu. Bunkier. Kolejne wyskakiwały po obu stronach drogi. Linia hitlerowskich umocnień. Nie brakło ich w tych okolicach. A więc arteria strategiczna. Jasne.

To było jasne, natomiast wszystko inne...

Przytknął nowego papierosa do elektrycznej zapalniczki. Palił bez przerwy od wielu godzin. Całe podniebienie oblepiał mdły nalot nikotyny. Przełyk suchy i chropowaty, niemal bolesny. Ale cóż z tego? Musiał palić...

II

Długo wycierał ręce. Wpierw szmatką, potem pakułami, wreszcie znowu szmatką. Zwinął w kłębek i wrzucił na same dno skrzynki.

Z boku majaczył białą plamą słupek kilometrowy. Cyfry nie było widać. Wcisnął sprzęgło, zawarczał starter – wszystko w porządku. Wóz ruszył. Ostre światła reflektorów przecinały skłębiony przed niklem zderzaka mrok. Przybierał już granatową głębię.

Zielonkawo świeciły wskazówki zegara. Przydusił pedał gazu aż do deski. W równomierne sapanie motoru wdarło się alarmujące stukanie. Niedotarty motor zaczął się przegrzewać. Nie zwolnił jednak. Tłoki? Trudno. Tu chodziło o ważniejsze rzeczy. Nie zdawał sobie sprawy, że to trwało aż tak długo. Było późno. Cholernie późno.

Wóz szarpał konwulsyjnie jak chory organizm. Tu już ani śladu bunkrów. Jednolite ściany drzew powleczone nieprzeniknioną czernią. Las zastygł w bezruchu, niemy i tajemniczy. Żadnych odgłosów poza hałasem motoru. Przed szklami reflektorów gęstniała mgła. Smuga światła drażyła tunel. Ciemność i cisza odbarwiały poczucie rzeczywistości jakby gdzieś na samym krańcu realnego świata. Albo w ogóle poza jego granicami.

Tunel biegnący w nieznane...

Palce leżących na kierownicy dłoni zacisnęły się kurczowo. Nonsens. Wszystko było realne. Niestety aż nadto realne. Krew... Wszędzie krew... Jaskrawoczerwone plamy na polerowanym metalu. Zbroczone rękawiczki paliły żywym ogniem...

Nieprawda: nie było dużo krwi. Zresztą nie o nią chodziło. Zamierający oddech, który nagle zgasł jak zdmuchnięty płomień świecy. Ostre rysy woskowożółtej twarzy zapadające się w głąb. *Risus sardonicus*. Koniec.

Całe wieki nie zatrą wspomnienia tej chwili. Trwało krótko, a przecież decyzja nie przyszła od razu. Nie mogła przyjść... Może byłoby lepiej... potrząsnął ociężale głową, niedopałek wyleciał przez odchyloną szybę bocznego okienka. Skierka rozdmuchanego pędem żaru zakreśliła w mroku czerwony łuk, znikając z tyłu. Nie było innego wyjścia. Stało się, co się musiało stać. Ta śmierć była nieuchronna. Musiała nastąpić w każdym wypadku. Zresztą za późno na refleksje. Nie istnieje taka moc, która by potrafiła odwrócić bieg

minionych zdarzeń. Jeden zakręt, drugi. Szosa pięła się dość ostro pod górę. Zegar fluoryzował jak sygnał ostrzegający o niebezpieczeństwie. Znowu gaz. Jak daleko jeszcze?

Było znacznie bliżej, niż przypuszczał. Niemal bezpośrednio po minięciu następnego zakrętu ukazały się niewyraźne kontury wysokiego budynku.

Leśniczówka? Przypominało to raczej masyw średniowiecznego zamczyska. Zahamował przed grubymi prętami bramy. Najeżone ostrzami kolczastego drutu ogrodzenie zdumiewało swą wysokością.

Pod maską coś bulgotało. Chłodnica? Na to jednak nie miał żadnej rady. Przynajmniej na razie.

Jednolicie ciemnej bryły budynku nie rozjaśniało najmniejsze światełko. Znowu rzut oka na tarczę zegara. Ba... o tej porze.

III

Wściekły harmider ujadania. Jakieś niewyraźne plamy kłębiły się po tamtej stronie tuż przy ziemi. Psy i nikt więcej? Ponownie nacisnął klakson. Tym razem nie odrywał palca. Przeciągle wibrowało wycie syreny. Minęła jednak długa chwila, zanim w mroku zaczęły ocieślać kroki... Chybotliwie drgała poświata latarni.

Wyłączył reflektory i zapalił światła wewnętrzne wozu. Nachylił głowę w taki sposób, by odbłask padł na jego twarz. Uważał za konieczne, by można go było dokładnie dojrzeć. Jeżeli choć część tego, co usłyszał, odpowiadała prawdzie...

Barczysta postać przywarła do prętów bramy. Spod nastroszonych brwi błysnęło nieufnie obmacujące spojrzenie.

– Doktor Jerzy Kostrzewa – oznajmił głośno.

Słowa zabrzmiały tak, jak zabrzmieć powinny, chłodno i spokojnie.

– Zawiadomiłem o swym przyjeździe telegraficznie.

Powinno było wystarczyć. Nie wystarczyło jednak. Człowiek po tamtej stronie nie sięgał do rygli. Przestępował z nogi na nogę. Seria niezdecydowanych pochrząkiwań.

– Hmm... telegraficznie – widać było, że nie wie, co ma dalej zrobić.

Kostrzewa powstrzymał odruch zniecierpliwienia. Niezwykłość sytuacji usprawiedliwiała niejedno.

– Przybywam na zaproszenie magistra Lesiewicza – głos wciąż tak samo równy i wyraźny. – Zastałem go?

Długa pauza, jakby odpowiedź wymagała natężonych rozważań.

– Jest... Właściwie... nie – nieokreślony ruch głowy, który niczego nie oznaczał – nie ma go...

Skrzyżowane na kierownicy ręce leżały bez ruchu. Jest i nie ma – niejasne i dwuznaczne. Ale był przygotowany na znacznie dziwniejsze niespodzianki.

– Nie przyjechał jeszcze?

– Przyjechał... Ale... – znowu chwila zastanowienia. – Proszę tu poczekać. Ja zaraz... – powolny obrót i odszedł w głąb podwórza, roztopiając się w ciemnościach.

Pozostawiona w niewiadomym celu latarnia pełgała zamierającym płomykiem. Psy rzucały się wściekle na ogrodzenie. Raz po raz bolesny skowyt kwitował zetknięcie się z kolcem. Ogrodzenie musiało pochodzić z niezbyt dawnego czasu. Inaczej na pewno zapamiętałyby, że kłuje.

IV

Co u licha – poruszył się niecierpliwie – poszedł spać? Wreszcie jeden z prostokątów okien spłynął światłem. W parę sekund później zajarzyły się dwa następne. Widmowe zręby ożywiły się, nabierając cech czegoś bardziej rzeczywistego.

Ku bramie zbliżały się dwie sylwetki. Ta druga znacznie niklejsza. Jakby cień rzucany przez brylowatą postać człowieka o krzaczastych brwiach.

W niepewnym świetle latarni zalśnił mdłym złotem szyk galonów. Nad wykładanym kołnierzem mundurowej kurtki twarz poorana głębokimi zmarszczkami. Szczupły, przygarbiony, około pięćdziesiątki. Poznał go od razu, choć widział po raz pierwszy w życiu.

– Pan inżynier Zawadzki?

– Tak, ale... – ton zupełnie zrozumiątego zdziwienia.

Kostrzewa powtórzył prezentację.

– Nie wiem, czy magister Lesiewicz uprzedził o moim przyjeździe... Depeszowałem zresztą.

– Oczywiście – uprzejmy głos kulturalnego człowieka. – Oczekiwaliśmy pana. Miał pan przyjechać znacznie wcześniej. Jakaś awaria?

– Awaria.

Zgrzyt odsuwanych rygli. Kostrzewa wprowadził wóz do środka. Mocny uścisk dłoni. Mocniejszy, niż mógł oczekiwać od nieznanego człowieka.

– Oczekiwaliśmy pana – powtórzył Zawadzki – jak zbawienia... Liczyliśmy wprost godziny, bo...

Drugi mężczyzna manipulował w milczeniu przy ryglach bramy. Szerokie bary, twarz bez wyrazu. Może senna, może tępa z natury. Koszula szeroko rozchełstana na piersiach. Najprawdopodobniej dozorca.

– Beczka dynamitu z podpalonym lontem – ciągnął dalej Zawadzki. – Brzmi to nieco melodramatycznie. Ale mniej więcej odpowiada naszej sytuacji. Raczej nawet więcej niż mniej... Przynajmniej według tego jak my ją oceniamy. Zdzisław opowiedział panu o wszystkim?

– Nie. Naszkicował całą historię jedynie w ogólnych zarysach. Szczegóły miałem usłyszeć tu, na miejscu.

Zawadzki przesunął ręką po czole.

– Prawda... Tak właśnie zostało pomiędzy nami ustalone. Zachodzą bowiem pewne okoliczności...

– Nie zdołałem się dowiedzieć, czy już przyjechał.

– Owszem. Wczoraj rano. Ale dziś po południu wyszedł i dotychczas nie wrócił. Zaczynamy się o niego niepokoić, bo jednak w tych warunkach...

– Jeżeli chodziło o jakąś dalszą wyprawę...

– Nie – jakby nagły błysk dziwnego spojrzenia. Trwał jednak tak krótko, że Kostrzewa nie był pewny, czy mu się nie wydawało – „mała przechadzka po lesie”, to wszystko.

– Przechadzka w nocy?

– Otóż to. Zresztą gdy wychodził, było całkiem widno. Około piątej. Ale od zapadnięcia zmroku siedzimy jak na rozżarzonych węglach. Noc – powtórzył. – A dziś jest właśnie piątek.

– Czy ten dzień ma jakieś szczególne znaczenie?

– Niestety. Jak najbardziej szczególne – przystanął. Palce kręciły machinalnie złocisty guzik mundurowej kurtki. – Wtedy był też piątek.

– Ale... – Kostrzewa zerknął niepewnie na człowieka, który po zamknięciu bramy siedł obok nich, pilnie słuchając.

Zawadzki zauważył to spojrzenie.

– Józef jest u nas od wielu lat. Możemy mówić przy nim swobodnie – jakby udzielał referencji o kimś nieobecnym. – On wie wszystko.

– Wszystko?

Kostrzewa wpatrzył się w ciemność. Przez chwilę trwało milczenie.

– Lesiewicz powiedział mi – podjął po przejściu kilku kroków – że niebezpieczeństwo będzie zagrażać dopiero trzynastego, to jest pojutrze. Z tego właśnie powodu ustaliliśmy datę mego przyjazdu na dziś.

– Trzynastego – Zawadzki pokiwał głową – zgadza się. To zaszło trzynastego. Ale wtedy trzynastego wypadło akurat w piątek. Myśleliśmy, że chodzi o datę. Teraz jednak, gdy Zdzisław zniknął...

– Więc nie wiadomo, czy groźba niebezpieczeństwa dotyczy tożsamości dnia, czy daty?

– Nie... Cóż można poradzić na mechanizm kalendarza? – bąknął niezrozumiale. – Na wiele rzeczy nie można poradzić – szarpnął kołnierzyk, jakby go nagle zaczął dusić.

Doszli do budynku. Pierwsze wrażenie nie myliło: był rzeczywiście nadspodziewanie wielki jak na swe przeznaczenie. Kilka stopni, dalej spękana płyta tarasu. Obszerny hol. Mrugająca gdzieś u sufitu żarówka nie była w stanie rozproszyc zgęstniałych po kątach ciemności.

Józef zniknął. Kostrzewa nie zdołał zauważyć momentu, w którym to się stało.

– Pozwoli pan ze mną.

Zawadzki prowadził na górę. Głucho stukały podeszwy. Beton jako tworzywo wewnętrznych schodów? Poręcze ciężkie i niezdarne, z masywnego żelaza. Być może była to nawet stal. Architekt musiał mieć zły dzień, projektując wnętrze tego domu.

Weszli do dużego pokoju. Mimo że paliły się wszystkie światła, pozostał również dość mroczny. Umeblowanie wskazywało na coś w rodzaju gabinetu.

Zawadzki zrobił zachęcający gest w stronę rozłożystego klubowca pokrytego mocno zniszczoną skórą.

– Bardzo pan jest zmęczony, doktorze? – zapytał z wahaniem.

– W każdym razie nie do tego stopnia, bym nie zdołał wysłuchać wszystkiego, co macie do powiedzenia.

– Musi pan być zmęczony – skonstatował matowo – po takiej drodze...

– Jednak w sytuacji, kiedy być może chodzi o każdą godzinę... – podsunął Kostrzewa.

– Tak. Kto wie, czy nawet nie o każdą minutę.

– No więc, tym bardziej.

– Słusznie – zatrzymał się jeszcze na progu. – Może jednak zje pan przedtem kolację?

– Jakoś wytrzymam.

– W takim razie zaraz sprowadzę panu resztę.

Wyszedł.

Kostrzewa wstał. Fotel tylko z pozoru zapowiadał wygodę. Wyłazące ze wszystkich stron sprężyny uwierały boleśnie. Rozpoczął powolną wędrówkę po pokoju. Reszta? Lesiewicz wspominał jeszcze tylko o Świrskim. Ale określenie: „reszta” nie mogło chyba dotyczyć jednej osoby. Wzruszył ramionami. Czas pokaże. Prawdopodobnie zresztą nie tylko to jedno będzie odbiegało od przewidywań.

Nagle znieruchomiał. Przeróżliwy krzyk wpadł w senną ciszę.

Co to? Znowu.

Jakby w nieludzkiej męce albo w ostatecznym przerażeniu.

Przypadł ku oknu. Na zewnątrz? Raczej chyba tak. Przyłgął twarzą do szyby, wyęzając oczy. Ale po tamtej stronie leżał nieprzenikniony mrok.

Światło drgnęło i zaczęło przygasać.

V

Zawadzki zapukał i nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi. Uważał to za zupełnie naturalne. Chyba tu nie trzeba tracić czasu na ceremonie. Okazało się jednak, że trzeba.

– Co? – cofnął się gwałtownie.

Mętne zazwyczaj oczy Świrskiego płonęły niedobrym ogniem. Tak jak w tych czasach, gdy...

Prawa ręka w bocznej kieszeni marynarki. Wiedział, co w tej chwili obejmują jej palce. Ale nawet gdyby nie wiedział, wystarczyłoby jedno spojrzenie. Kieszeń odstawała w bardzo charakterystyczny sposób.

– Zwariowałeś? – syknął ostro.

Przez głowę przemknęła myśl, którą w następnej chwili uznał za niedorzeczną.

Ręka wynurzała się powoli z kieszeni. Nie spuszczał z niej oka. Jakże to niezmiernie długo trwało, zanim ukazała się pusta.

– Sam zwariowałeś – twarz Świrskiego złagodniała. – Włazić bez uprzedzenia w sytuacji, gdy...

– Pukałem przecież.

Wydął wargi.

– Cóż z tego? Każdy może pukać.

Zawadzki wciągnął głęboko powietrze do płuc.

– Nonsens. Musisz się wziąć ostro w garść.

Tamten patrzył na niego spod przymrużonych powiek.

– Łatwo powiedzieć. Jakby tu w ogóle to było możliwe.

– Zastanów się człowieku – rzucił ostro – do czego w końcu dojdiesz. Niewiele brakowało, byś do mnie wygarnął.

– Niewiele – przyznał obojętnie Świrski. – Więc cóż z tego? Nie wygarnąłem przecież.

Zawadzki podszedł tuż do niego.

– Palec na cynglu, kula w lufie, bezpiecznik odsunięty.

– Zgadza się. Czyż można inaczej w takich warunkach?

– Żałuję, że ci dałem broń.

– Gdybyś odmówił, nie pozostałbym tu ani chwili.

– Może byłoby lepiej dla ciebie.

– Może. Któż jest w stanie przewidzieć, co lepiej, a co gorzej. Teraz już za późno na bezprzedmiotowe dyskusje. Ani nie oddam pistoletu, ani nie wyjadę. Nie mam zwyczaju wycofywać się z gry, skoro już biorę w niej udział.

– Gra... – Zawadzki nagle spojrzał przez ramię poza siebie. – Diabli wiedzą, jak to wszystko wypadnie.

Świrski przysiadł na brzegu krzesła.

– Wykładaj więc swoje sensacje.

– Sensacje?

Znowu nawał wątpliwości. Kompletnie ubrany, broń w kieszeni. Właściwie dlaczego?

– Nie łąziłbyś przecież bez potrzeby po nocy...

– Słusznie... Otóż przyjechał. Jest chirurgiem i od czasu do czasu zajmuje się sprawami kryminalnymi. Czyni to zresztą najzupełniej prywatnie.

– Prywatnie – parsknął. – Wierzysz w duchy?

– Zdzisław wierzy. Rozpracował go jak najdokładniej.

– Rozpracował – głośnie strzepnięcie palcami – i znalazł, czego nie szukał.

– To już potem.

– Znalazł – powtórzył z uporem – dziękuję za takie powiązanie. Zupełnie jakby gasić płomień dynamitem. Tamta historia się zgadza?

– Nie wiem.

– Widziałeś go i nie wiesz?

– Sam zobaczysz i też nie będziesz wiedział. Fotka da się równie dobrze dopasować do Marka Aureliusza, jak i do Dżyngis-chana.

– Nie chodzi teraz o popis twojej edukacji historycznej – sarknął. – Wolałbym, żeby to wszystko działo się przed wiekami, ale niestety dzieje się właśnie teraz. Co wie o sprawie?

– Twierdzi, że Zdzisław opowiedział mu o niej tylko w grubszych zarysach.

– Nie jesteś tego pewien?

– Czego tu można być pewnym?

– Fakt.

– Zresztą, gdy Zdzisław wróci...

– O ile w ogóle wróci. Co teraz ptaszyna porabia?

– Siedzi w gabinecie i czeka na nas.

– A jeżeli nie siedzi i nie czeka?

– Co masz na myśli?

– Słuchaj! – złapał go porywczo za ramię.

– Co? – dalsze słowa zamarły na ustach.

Przeciągły, ledwo dosłyszalny odgłos, jakby ktoś niezmiernie ostrożnie skradał się korytarzem. Słyszał go zresztą już nie po raz pierwszy. Nawet w ciągu dzisiejszej nocy. Świrski zająknął mu nagle głęboko w oczy.

– Z kim tu przyszedłeś?

– Z nikim.

Ogarnęło go przygnębienie. A więc już do tego doszło. Ale to było zupełnie zrozumiałe.

– Bzdura!

Odrzucił go i jednym skokiem wypadł na korytarz. Ręka znowu w kieszeni. Wyraz twarzy świadczył, że wystarczy najbliższy powód, by zaczął strzelać.

Zawadzki wybiegł za nim.

– Stefan, opamiętaj się!

Szczęknął przekręcany wyłącznik. Korytarz zalała powódź jaskrawego światła. Świrski popędził ku schodom. Przystanął, spojrzał w dół, zawrócił.

– Szlag by to...! – wciąż nie wyjmował ręki z kieszeni.

– Widzisz przecież, że nikogo nie ma – zauważył tonem perswazji Zawadzki.

– Teraz – znowu zaklął. – Ale co było przed chwilą?

– Nie wierzę w ludzi znikających pod podłogą.

– W tym domu w różne cuda można uwierzyć.

– Nie było nikogo.

Machnął niecierpliwie ręką.

– Gadał dziad do obrazu. Sam przecież słyszałeś, że ktoś szedł. Musiałeś słyszeć. Nie zaprzeczaj.

– Myszy...

– Nie mam zaufania do myszy, które spacerują w miękkich pantoflach – zamyślił się. – Powiadasz: nikogo. Szedłeś tu po ciemku?

– Nie.

– Właśnie. A gdyśmy wybiegli na korytarz, światło było zgaszone. Myszy – wycedził – były podobno nawet takie, które zeżarły króla. Z nami pójdzie łatwiej.

Zawadzki spuścił głowę. Zgaszenie światła stanowiło argument nie do odparcia. Ktoś przekręcił wyłącznik.

– Nie rozumiem – mruknął bezradnie.

– Ja także nie – roześmiał się. – Przypuszczam, że gdy wreszcie zrozumiemy, będzie już po nas – skierował się z powrotem do pokoju.

– Musimy iść do gabinetu – przypomniał Zawadzki.

– Pójdziemy. Muszę jednak przedtem załatwić pewną rzecz.

VI

Nalał więcej niż trzy czwarte szklanki i wychylił, nie odrywając szkła od ust. Zawadzki obserwował go z dezaprobatą. „Rzecz, którą musiał załatwić.”

– Za dużo pijesz.

– Za dużo piję – potwierdził niczym wierne echo. – I co z tego? Muszę pić. Tylko to pozwala mi zachować jakieś tam resztki formy.

– Jeżeli swój stan nazywasz formą...

– Powiedziałem: resztki. Może być gorzej i z całą pewnością będzie gorzej. Prztyknął palcem w szyjkę butelki, nadsłuchując szklanego oddźwięku.

– Ile powiemy temu tam?

– Tylko tyle, aby zrozumiał całą historię.

Świrski zamyślił się.

– A jeżeli będzie chciał wyciągnąć wszystko?

– Może sobie chcieć. Nie wiadomo zresztą, czy podejmie się prowadzenia tej sprawy.

– Wolałbym, żeby zrezygnował. Trudno o bardziej idiotyczny pomysł niż ściąganie tu właśnie jego.

– Zgodziłeś się.

– Zdzisław... On nawet skałę potrafiłby przekonać. Zresztą nie widziałem innego wyjścia. Zgodziłbym się na współpracę z samym diabłem.

– No więc...

– Teraz jednak nie wiem, czy diabeł nie byłby lepszy. Pewnie jakiś wścibski typ. Zawadzki popatrzył na niego spod oka.

– Obawiasz się, że...

– Niczego się nie obawiam – przerwał zgryźliwie. – Czas obaw przed szkieletami w szafie należy do przeszłości. Drogo musiałem za to zapłacić. Bardzo drogo.

Zawadzki odwrócił głowę, patrząc w kąt. Drogo zapłacił, to prawda. Ale z jakiego powodu ma o to pretensję właśnie do niego?

Dotknął ramienia Świrskiego.

– Musimy iść. On już długo czeka.

– Chodźmy – ruszył ociężałym krokiem.

– Po drodze zabierzemy Jerzego.

Byli już na korytarzu.

– On tu też potrzebny jak dziura w moście.

– Licho wie, kto z nas jest tu potrzebny.

– Słusznie. Może nikt. Choć w takim wypadku nie byłoby kogo mordować. Może również nie miałby kto mordować – dorzucił głucho.

Zawadzki jakby się nagle potknął.

– Co masz na myśli?

– Nic – burknął ze złością. – Gada się, aby gadać. Mam ważyć każde słowo, zanim je wypowiem?

Do drzwi pokoju Kopankiewicza doszli w milczeniu.

Na pukanie odezwał się głos Kopankiewiczowej. Brzmiał jakoś dziwnie.

– Kto tam?

Musieli długo tłumaczyć, zanim zazgrzytał przekręcany w zamku klucz. Trudno było pogodzić tego rodzaju ostrożności z pełnym stanowczej energii charakterem pani Loli.

– Coś państwa przestraszyło? – zapytał Zawadzki.

– Nie można by tego nazwać w ten sposób – zaprzeczyła z nikłym uśmiechem.

– Jeżeli o mnie chodzi, to można – sprostował Kopankiewicz. – Gdy tuż pod drzwiami łązi ktoś, kogo nie ma...

Świrski spojrzał znacząco na Zawadzkiego.

– W korytarzu?

– Właśnie. Ona też słyszała – wskazał ruchem głowy na żonę.

– Jakby... coś miękkiego – powiedziała z namysłem – i jakby akurat do nas. Zapytałam: kto i ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, otworzyłam drzwi.

– Nie były wtedy zamknięte na klucz – wtrącił Kopankiewicz.

– Właśnie – potwierdziła. – Wyrzalam niemal w tej samej chwili, gdy szuranie zamarło przed naszym progiem. Nie zobaczyłam jednak nikogo.

– Ani pod drzwiami, ani nigdzie – uzupełnił mąż. – Trudno sobie wprost wyobrazić, w jaki sposób ten ktoś zdążył zniknąć. Zniknął jednak.

Pani Lola zmarszczyła brwi.

– To pewnie jakiś szczur. Nie cierpię szczurów.

– Przed kilkoma minutami słyszałem dla odmiany o myszach – śmiech Świrskiego zabrzmiał nieco zgrzytliwie. – Nie wierzę ani w jedno, ani w drugie.

– Ja także nie – zawtórował Kopankiewicz. – W rezultacie trudno by zaliczyć cały ten seans do specjalnych przyjemności.

– W tym domu często słychać różne szmery – zabrał głos milczący dotychczas Zawadzki. – Być może mamy do czynienia z jakąś wadliwością przewodów wentylacyjnych. Przy sposobności każe to zbadać, by was uspokoić.

– Dużo rzeczy należałoby zbadać, aby nas uspokoić – stwierdził matowo Świrski. – I kto wie, czy w rezultacie zostalibyśmy naprawdę uspokojeni.

Kopankiewicz przyglądał dłonią włosy.

– Wracam zaraz po tej... konferencji. Tymczasem uważaj – powiedział do żony.

– Na co? – zapytała cicho.

– W ogóle. Postaram się wrócić jak najprędzej.

Odchodząc, usłyszeli, jak zamykała drzwi na klucz.

– Szczury – przeciągnął Świrski.

Kopankiewicz nie odpowiedział. Było oczywiste, że chciała go tylko uspokoić – ale w takim razie jak wytłumaczyć to, co zaszło przed paroma minutami?

– Dobrze, że ten Kostrzewa w końcu przyjechał.

Świrski, który pozostał w tyle, przekładając coś szybkim ruchem z kieszeni do kieszeni, znowu się z nim zrównał.

– Okaże się przy zamiętaniu.

Kopankiewicz spojrzał na niego zaskoczony.

– Wątpi pan w jego zdolności?

– Wręcz przeciwnie...

Nieludzki krzyk dobiegł z dworu.

Kopankiewicz przesunął końcem języka po wargach.

– Niełatwo się do tego przyzwyczaić.

– Do wielu rzeczy niełatwo się przyzwyczaić... – światło żarówek zaczęło migotać i przygasać – cholera z tą elektrycznością – zaklął – doprowadza mnie do białej gorączki.

– Zaraz zgaśnie – Kopankiewicz obserwował podejrzliwie zwisający u sufitu kłosz.

– Nie znoszę ciemności w czterech ścianach obcego domu – stwierdził ochryple Świrski.

Zawadzki ujął go pod ramię.

– Nerwy... Musisz trochę spauzować – obydwaj wiedzieli, o czym mówi.

– Nerwy – wyszarpnął ramię. – Owszem. Tylko że płaczesz przyczyny ze skutkami. Światło jednak nie zgaśło.

VII

Kostrzewa podbiegł ku nim. Mieli takie miny, jakby nic nie słyszeli, ale to przecież nie było możliwe.

– Ten krzyk...

Zawadzki potrząsnął głową.

– Bardzo przykra historia, ale bez znaczenia.

– Jednak...

– Biedny szaleniec, najzupełniej zresztą nieszkodliwy dla otoczenia. Ojciec Józefa, tego gajowego, który otwierał panu bramę.

– Nie wiem, jak tam z tą nieszkodliwością – niski mężczyzna, co najmniej o dziesięć lat młodszy od obu przybyłych, podszedł do Kostrzewy. – Słuchając jego wrzasków, człowiek w końcu nabiera ochoty, żeby samemu zawyć. Kopankiewicz – wyciągnął rękę. – Jerzy Kopankiewicz – powtórzył z naciskiem świadczącym, że nazwisko powinno wszystko objaśnić. Kostrzewie jednak nie objaśniło nic. Lesiewicz nie wspomniał ani słowem o żadnym Kopankiewicz.

– Mój przyjaciel jest znanym autorem powieści kryminalnych – oznajmił Zawadzki.

Kopankiewicz zmrużył ironicznie oczy.

– Jak widzisz nie bardzo znanym.

Kostrzewa bąknął ni to, ni owo. Nie znosił niezręcznych sytuacji.

– Stefan Świrski – olbrzym o mięśniach porośniętych tłuszczem. Rysy twarzy rozlane. Worki pod oczami. Czaszka zupełnie naga. Znowu uderzała wprost fotograficzna dokładność opisu Lesiewicza. Ale uścisk pulchnej dłoni nadspodziewanie twardy.

– Do kompletu brakuje tylko Zdzisława – zauważył Kopankiewicz.

– Tak. Ale chyba nie będziemy na niego czekać... – Zawadzki spojrzał pytająco na Świrskiego.

– Nie będziemy – Świrski utkwiał nieruchomy wzrok w ciemności leżącej na szybach. – Nie możemy czekać.

– A więc – Zawadzki położył obie ręce na oparciu fotela. – Co panu właściwie Zdzisław powiedział o sprawie?

Kostrzewa poprawił się w fotelu. Znowu jakaś sprężyna ugniatała zebro.

– Że ktoś wam grozi śmiercią i że zamach nastąpi prawdopodobnie trzynastego.

– Tylko tyle?

– Tylko. Gdyby nie doktor Zieliński, który jest moim bliskim przyjacielem, nie sądzę, żebym zaryzykował przyjazd na podstawie tak ogólnikowych danych. Zapewnił mnie jednak, że pan Lesiewicz nie należy do ludzi lubiących wyolbrzymiać niebezpieczeństwo.

– Tak – potwierdził zgrzytliwie Świrski – to prawda. On nigdy nie lubił przesadzać, mówiąc o rozmiarze niebezpieczeństwa. Raczej go nie dostrzegał.

Długa pauza. Czas przeszły zabrzmiał jakoś złowieszczo. Ton świadczył, że został użyty jak najbardziej świadomie.

„Makabra” – pomyślał Kostrzewa. Tu wszystko tchnęło makabrą. Potem zaklął w duchu. Nerwy? Co, u licha. Stanowczo nie był w najlepszej formie.

– W jaki sposób grożono? – zapytał po chwili. Głos jeszcze chłodniejszy niż zwykle.

VIII

– Ostrożnie – zawołał, widząc, w jaki sposób Zawadzki wyjmując kopertę z portfela – nie można tak.

Ale leniwe ruchy Zawadzkiego były w dalszym ciągu niedbałe.

– Ma pan na myśli odciski palców i tym podobne?

– Oczywiście.

Lekkie wzruszenie ramionami.

– Niestety nic z tych rzeczy.
 – Skąd pan wie? – Kostrzewa wprost nie mógł patrzeć, jak opuszki palców Zawadzkiego rozplaszczają się na papierze.

– Wszystkie trzy listy były badane przez ekspertów.
 – Więc w tej sprawie toczy się dochodzenie?
 – Nie. Doszliśmy do wniosku, że nie dałoby wiele. Ale jeżeli chodzi o niektóre czynności... Krótko mówiąc, skorzystałem z kumoterskich chodów w milicji.
 – Rozumiem – nie bardzo zresztą rozumiał.
 Pomimo zapewnień ujął róg koperty tak delikatnie, jak to było możliwe. Eksperci? Różnie to z nimi bywa.

Zwykła, tania koperta, jakie można dostać w każdym kiosku. Nie było co szukać znaków wodnych ani żadnych innych cech szczególnych. Znaczek naklejony w prawym rogu koperty, bez użycia dodatkowego kleju. Dziewięćdziesiąt dziewięć osób na sto w taki właśnie sposób nakleja znaczki. Jeśli do tego nadawca manipulował w rękawiczkach... Stempel pocztowy „Zielona Góra”. Data sprzed dwóch tygodni. Adres wypisany na maszynie. Rysunek czcionek przejrzysty, krawędzie liter odbite bardzo wyraźnie. Te czcionki nie mogły być długo w użyciu. Nigdzie śladu jakiegokolwiek starcia metalu.

Arkusze papieru złożony na czworo. Lichy gatunek używany powszechnie do maszyny. „Podły morderco! Nie myśl, że czas pokrył twoją niehumanitarną zbrodnię pajęczyną zapomnienia. Dni twoje dobiegają końca. Gdy zegar odmierzy trzynaście lat, pójdziesz tam, gdzie czekają na ciebie ludzie, których podstępnie wysłałeś na śmierć.”

– Pajęczyna zapomnienia – Kopankiewicz zaglądał Kostrzewie przez ramię. – Secesja w tandetnym wydaniu. I te metafory... Weźmy choćby zegar odmierzający lata... Nie ma to jak być anonimowym autorem... Gdybym ja pozwolił sobie na coś podobnego...

– Otrzymałem identyczny list – Świrski podał taką samą kopertę. – Jakby odbity przez kalkę.

– Żaden z listów nie został odbity przez kalkę – stwierdził niepotrzebnie Zawadzki. To było widać przecież na pierwszy rzut oka. – List adresowany do Zdzisława także nie.

– Styl humorystyczny – Kopankiewicz tarł podbródek – ale jeżeli to nie jest kawał... Świrski zagwizdał przez zęby.

– Nie jest kawał.

– Chyba nie – Zawadzki bawił się bezmyślnie portfelem. – List do Zdzisława został wysłany dla odmiany z Rzeszowa.

Kostrzewa ostrożnie wyglądał zmieciowaną kopertę. Ten sam papier, ta sama maszyna. Stempel pocztowy „Lublin”. Data o dwa dni późniejsza niż na liście adresowanym do Zawadzkiego.

– Kiedy został wysłany list do Lesiewicza?
 Zawadzki pokiwał głową.

– Owszem zwróciliśmy na to uwagę. O trzy dni później niż ten. Ktoś jeździł po Polsce i wrzucał listy do skrzynek pocztowych.

Kostrzewa wyjął lupę. Rzędy pisma nie były idealnie równe.

– Nowe czcionki, ale stara maszyna – powiedział Zawadzki.

Kostrzewa nie odrywał oczu od soczewki.

– Opinia ekspertów?

– Twierdzą, że czcionki zupełnie nie są starte, natomiast jeżeli chodzi o drążki...

– Owszem. Drążki niewątpliwie chwiejne, przez co rzędy pisma wychodzą trochę nierówno. Ale to wcale nie dowodzi, byśmy mieli do czynienia ze starą maszyną. – Jeszcze raz porównał obie kartki i schował lupę – erika model pięćdziesiąt siedem – oznajmił z przekonaniem – czcionki fabryczne.

– Jest pan tego pewien? – zapytał z podziwem Zawadzki.

– Jak najbardziej. Nie myślcie – uśmiechnął się lekko – że chcę udawać magika, który na pierwszy rzut oka rozpoznaje wszystkie marki świata. Ale pismo akurat tej maszyny miałem już okazję badać. Czy istnieją podstawy do traktowania tych gróźb poważnie?

Zawadzki schował wreszcie portfel.

– Tak. Istnieją takie podstawy.

Świrski strzelił palcami.

– Jeszcze jak.

Kopankiewicz pokręcił głową:

– Na mój gust coś to za bardzo powieściowe.

– Czy podejrzewają panowie, kto jest autorem tych listów?

– Nie – Zawadzki potrząsnął energicznie głową. – Absolutnie nie.

Oczy Świrskiego przygasły i patrzyły bez wyrazu gdzieś w przestrzeń.

– Podejrzewać można wiele – mruknął – ale co z tego?

Po twarzy Zawadzkiego przemknął nikły cień.

– Kogo podejrzewasz?

Wzruszył ramionami.

– Nikogo – pogłodził wyłóg swej marynarki. – Wszystkich. Czyż to nie obojętne?

Kostrzewa skierował z powrotem wzrok na kartki. Nikogo, wszystkich... Słowa raczej nie miały głębszego znaczenia. Ale w tonie, w którym zostały wypowiedziane, było niewątpliwie coś szczególnego. Rozbieżność co do oceny sytuacji? Być może nie tylko w tym.

– Trzynaście lat – podkreślił palcem w powietrzu. – Co właściwie zaszło przed trzynastu laty?

TEN, KTÓRY NIE POWRÓCIŁ, I TEN, KTÓRY NIE PRZYBYŁ

I

Zawadzki popatrzył w sufit. Świrski z nagłym zainteresowaniem zaczął oglądać swe paznokcie. Byli wyraźnie zakłopotani.

Na twarzy Kopankiewicza wyraz napiętej ciekawości. On chyba również nie wiedział.

– No, więc... – Zawadzki odchrząknął, ale głos w dalszym ciągu był matowy od chryпки – pewna nasza akcja, która pociągnęła za sobą ofiary w ludziach.

– Jakiego rodzaju akcja?

– Zbrojna.

– Trzynaście lat temu? W październiku czterdziestego szóstego?

– Tak – potwierdził szorstko Świrski – właśnie wtedy.

– Przeciwno dywersantom?

– Nie – zmarszczki na twarzy Zawadzkiego jakby nagle pogłębiły się jeszcze bardziej. – Nie przeciwno.

Kostrzewa drgnął. Trudno było nie zrozumieć. Jeszcze nie tak dawno wstałby, ruszył do samochodu i, nie bacząc na zmęczenie i noc, odjechał. Ale lata pracy w Komendzie Głównej, wszystko, co widział i słyszał, dało mu tyle do myślenia, że odszedł z milicji. Po prostu nie mógł firmować własnym nazwiskiem tego, co się tam działo. Zresztą niejedyn z jego kolegów podzielał ten punkt widzenia, tyle że oni byli z zawodu tylko milicjantami, nie mieli dokąd odejść. On miał.

– A więc tak zwana akcja dywersyjna?

– W akcji oskarżenia tak się to nazywało – potwierdził sucho Świrski. – Ale wtedy można było oceniać rzecz z rozmaitych punktów widzenia. My za nasz punkt widzenia

zapłaciliśmy tyle, ile wypadło z rachunku. Nie wszyscy zresztą jednakowo – krótki błysk oka wyraźnie pod adresem Zawadzkiego.

– Kwestia szczęścia – mruknął Zawadzki, nie patrząc na nikogo.

– Może sprytu, może... jeszcze czego innego. Krótko mówiąc, ja i Zdzisław odbyliśmy długoletnie szkolenie w miejscu zamkniętym, Jerzy natomiast doczekał się amnestii, przebywając w znacznie bardziej zdrowotnych warunkach.

– Tu? – zapytał machinalnie Kostrzewa.

Zawadzki przytaknął milczącym ruchem głowy.

– I teraz któraś z ówczesnych ofiar... – rozmyślał na głos Kostrzewa.

– Wykluczone – Świrski przeszedł się ciężko po pokoju. – Absolutnie wykluczone – stanął przy oknie, bębniąc palcami w metalowy parapet.

– Dlaczego?

– Nonsens – nie odwracał głowy. – Nie pisze się listów zza grobu.

– Zginęli wszyscy?

– W każdym razie dziś już nikt nie żyje. Nie znaczy, że akurat w czasie akcji, ale...

Mnie i Zdzisława ujęto po upływie długiego czasu... Wtedy już nie stawiano tych spraw na ostrzu noża.

Kostrzewa splótł ręce na kolanach.

– Po trzynastu latach – mówił jak w transie Kopankiewicz. Był mocno wstrząśnięty i nawet nie usiłował tego ukrywać – powraca fatalny dzień... Fatalna data.

Kostrzewa podniósł z wolna głowę. „Fatalna data”? Jakby za przesunięciem niewidzialnej dźwigni obraz uległ nagłej zmianie. Tu musiało być coś nie tak.

II

– Pomoże pan nam? – zapytał Zawadzki.

– Tak. O ile to będzie w mojej mocy.

Po twarzy Zawadzkiego przemknął trudny do rozszyfrowania wyraz. Prawe ramię Świrskiego lekko drgnęło. Wciąż wpatrywał się w leżącą na dworze ciemność.

– Śmierć – podjął znowu Kopankiewicz – czyhająca w każdym miejscu i w każdej chwili. Tylko nie wiadomo, w jakim miejscu i w jakiej chwili. To... nie jest łatwe – jakoś bokiem spojrzał ku drzwiom prowadzącym na korytarz.

Zawadzki uczynił ruch, jakby chciał usiąść w fotelu. Nie usiadł jednak. Strzepnąwszy jakiś pyłek ze skórzanego oparcia, wyprostował się na powrót.

– Nic nie jest łatwe.

Kostrzewa usiłował wczuć się w klimat. Jakoś mu się nie udawało. Półśłówka, niedopowiedzenia. Mogły nie znaczyć nic, mogły znaczyć bardzo wiele. Chcieli, żeby się włączył do sprawy? Nawet co do tego nie miał pewności. Lesiewicz wprawdzie oświadczył, że występuje w imieniu ich wszystkich, ale to miało miejsce przed tygodniem. Teraz go nie było. Zniknął. Kto wie, jak dalece sytuacja z tego powodu uległa zmianie. I co najważniejsze: w jakim sensie?

Skoro jednak już się zdecydował...

– Czy jest pewne, że z uczestników ówczesnej akcji nikt już nie żyje? – zapytał wreszcie.

Zawadzki westchnął.

– Niestety. Zupełnie pewne. Ta rzecz została dokładnie sprawdzona.

– Ilu ludzi mogło wchodzić w rachubę?

– Trzydziestu.

– Dwudziestu dziewięciu – sprostował przez ramię Świrski. – Rudy zginął dwa dni wcześniej.

– Prawda. Dwudziestu dziewięciu – zgodził się Zawadzki.
 – Zaczęliście ich poszukiwać już po otrzymaniu listów z pogrózkami?
 – Tak. Ale przecież nie tylko my. To byłoby nie do pomyślenia.
 „Chody w milicji” – pomyślał Kostrzewa. Ale nawet gdyby trafiono do komend w całym kraju, ustalenie losów dwudziestu dziewięciu ludzi w ciągu kilku dni nie było raczej możliwe.
 – A jeśli ktoś ukrył się pod cudzym nazwiskiem?
 – Nie wierzę – rzucił Świrski.
 – Wyraziłem się może niezupełnie ściśle. – Zawadzki mówił jakby z wahaniem. – Teraz w związku z tymi listami tylko... sprawdzaliśmy. O tym, że z całego oddziału nie ocalał nikt poza nami trzema, wiedzieliśmy już od dawna.
 – W takim razie może rodzina którejś z ofiar?
 Świrski odwrócił się powoli od okna.
 – To już bardziej prawdopodobne.
 – Co panom na ten temat wiadomo?
 Zawadzki rozłożył ramiona w geście bezradności. Świrski podszedł bliżej.
 – Cóż może być wiadomo? Rodzina to niezmiernie rozległe pojęcie. Któż zresztą jest w stanie zaręczyć, że nie mamy do czynienia choćby z przyjacielem któregoś z poległych?
 Kostrzewa wyciągnął nogi zmęczonym ruchem.
 – W ten sposób rzeczywiście lista osób podejrzanych wydłuża się w nieskończoność. – Masował powoli kolano. Długie godziny za kierownicą dawały o sobie dotkliwie znać. – Czy nie domyślają się panowie, z jakiego powodu ten ktoś tak długo czekał na zapowiedzenie swej zemsty?
 – Trzynaście lat – zawołał w podnieceniu Kopankiewicz. – Tamto zaszło trzynastego. A jeżeli symbolistyka feralnej trzynastki?
 Świrski obrzucił go pobłażliwym spojrzeniem.
 – Trzynastka? Dzisiaj mamy jedenastego. A Zdzisław...

III

Wracali ze wszystkich stron. Po dwóch, po trzech. Niektórzy z latarniami, w rękach innych połyskiwały reflektory dużych latarek elektrycznych.
 – Nic? – pytał Zawadzki, choć było to czysto retoryczne pytanie. Wystarczyło spojrzeć na ich twarze.
 – Nic.
 Przygarbił się. Kopankiewicz raz po raz ocierał czoło.
 – Zaczyna naprawdę zakrawać na tragedię.
 Świrski pomrukiwał coś pod nosem. Był ponury jak leżąca dookoła noc.
 Ludzie pochrząkiwali, wycierali głośno nosy, przytupywali, by strącić przywarte do obuwia pecyny błota. Pachniało potem i parującą tkaniną.
 – Żadnych śladów?
 – Żadnych.
 – Możecie przegapili?
 Zaprzeczali z oburzeniem:
 – Jakżeby... Cał po calu.
 Nalewane przez Józefa kieliszki z grubego szkła migotały zielonkawo. Jakby zgodnie z rytuałem splunęli i jeden po drugim odchodzili z powrotem w ciemność.
 Ostatni przyszedł barczysty chłop o niechlujnie skołtunionych włosach. Zawadzki podskoczył ku niemu.
 – I jak tam, Koryciuk?

Odstawił z brzękiem latarnię.

– Dolazłem aż do Zgniłych Moczarów. Przez cały czas prawie na samych kolanach. On tamtędy za Boga nie... Chyba żeby powietrzem.

– To zamyka krąg – powiedział apatycznie Zawadzki. – Szukano wszędzie, gdzie się dało, i najmniejszego śladu.

– Jeżeli szedł cały czas po mchu... – wtrącił Kopankiewicz.

Śmiech Koryciuka wypłynął jakby z głębi przepaścistego miecha.

– Na mchu też pozostają ślady, panie. I na liściach. Wszędzie, gdzie człowiek stąpnie. A tu ani ani...

– Musiał przecież któryś iść.

– Musiał – tak jak inni wypił podsunięty przez Józefa kieliszek i tak samo splunął. – Rzecz jasna, że tak. Ale tam, gdzie ja patrzyłem, nie przeszedł, jak Bóg na niebie.

– A tam gdzie patrzyli inni?

– Kto może odpowiadać za cudze oczy? Tylko że to wszystko ludzie od maleńkości zwyczajni lasu. Ptaka by wytropili, a coś dopiero człowieka.

– Uważacie, że warto przepatrzeć jeszcze raz za dnia? – zapytał Zawadzki.

– Tam, gdzieśmy dziś szukali?

– Tak.

– To już jak pan nadleśny uważa. Ale po mojemu nic nie da.

Potem i on odszedł. Stali jeszcze na podwórzu, choć deszcz padał coraz grubszy kroplami. Trudno było się jakoś zdecydować na powrót do domu. Kostrzewa przypalał papierosy od niedopałków poprzednich i wypalone zaledwie w połowie rzucał na spływający wodą beton.

– Wyszedł i zaraz za bramą rozpląnął się jak mgła – mruknął Kopankiewicz.

– Moi ludzie... – zaczął Zawadzki.

– Wierzę twoim ludziom, ale nie wierzę w cuda.

– Ja także nie – poruszył się ostro Świrski. Dotychczas stał bez ruchu, przypominając zwalisty pień. – Mech, liście, ziemia... Mnie nie trzeba pouczać o takich rzeczach. Ale istnieje podłoże, na którym w czasie deszczu nie pozostawia się śladów.

– Jakie? – zapytał szybko Kopankiewicz.

– Beton.

– Szukanie tropów na podwórzu... – przeciągnął zawiedziony.

– Podwórze? – strzepnął wodę z kołnierza kurtki. – Pomimo wszystko nie zgłupiałem jeszcze do reszty.

– Powiedział pan: beton – Kopankiewicz był wyraźnie strapiony.

– Powiedziałem. Ale beton jest nie tylko tu.

– A gdzie jeszcze?

– Szosa. Dziwne, że żaden z nas dawno już nie wpadł na to rozwiązanie – w mroku błysnęły białka jego oczu.

Kostrzewa był przekonany, że spojrzenie było przeznaczone właśnie dla niego. Uwaga również. Błogosławił ciemności skrywające jego twarz. Wyszło rzeczywiście głupio. No cóż, od samego początku zdawał sobie sprawę ze swej wyjątkowo słabej kondycji. Każde nerwy mają jakiś tam kres wytrzymałości. Poza nim człowiek staje się czymś w rodzaju galarety. Przełknął cicho ślinę.

– Była mowa o spacerze po lesie – uwaga zabrzmiała zupełnie zdawkowo.

– W jakim celu miałby iść szosą? – zawtórował Kopankiewicz.

Świrski przeciągnął ręką po mokrej czasce i obejrzał dłoń, jakby się spodziewał zobaczyć na niej coś więcej niż wodę.

– Czy ja wiem... – powiedział z namysłem. – Przypuśćmy, że miał tam umówione z kimś spotkanie.

– Z kim?
 Zawadzki otrząsnął się nagle jak zmoczony pies.
 – Cholerny prysznic. Macie zamiar stać tu do rana? – zawołał nieoczekiwanie głośno.
 Wypadło jakoś nienaturalnie. Jakby chciał w ten sposób nie dopuścić do odpowiedzi Świrskiego.
 W tej samej chwili buchnęło przeraźliwe ujadanie. Psy rzuciły się ku ogrodzeniu.
 Józef podniósł latarnię:
 – Może...
 Pobiegli za nim. Przez zakopcone szkła odbłask padał na odległość niespełna półtora metra. Kostrzewa sięgnął do kieszeni. Smuga jaskrawego światła przecięła czerń nocy. Zatoczył reflektorem szerokie półkole. Ostrymi konturami zarysowały się pnie drzew. Jeszcze raz przejechał światłem. Na otwartej przestrzeni nie było nikogo. Ale tam w gąszczu? Czekali, niemal wstrzymując oddech. Psy powoli zaczęły cichnąć.
 – Nic – szepnął Kopankiewicz.
 – Durne kundle – wybuchnął Zawadzki – że też nie możecie ich nauczyć, żeby nie podnosiły alarmu bez przyczyny.
 Józef zakołysał głową.
 – W lesie zawsze się znajdzie przyczyna. Bo to brak różnej zwierzyny?
 – Zwierzyna... – Świrski podszedł tuż do kolczastego ogrodzenia. – Być może nie tylko...

IV

Za dnia dom sprawiał nie mniej ponure wrażenie. Być może w pewnej mierze powodował to deszcz spływający po szybach.
 Pomimo wczesnej pory zastał wszystkich w jadalni. Twarz Świrskiego jeszcze bardziej przypominała rozmoczoną bułkę. Oczy przekrwione i mocno podpuchnięte. Niewątpliwie jakieś problemy z nerkami. Skóra na gładko wygolonych policzkach Zawadzkiego miała niezdrowy, szarawy odcień. Wątroba, choroba wieńcowa... o mało się nie roześmiał na głos. Jakby tu przyjechał leczyć domowników. Tylko Kopankiewicz był po prostu niewyspany.
 – Ani na chwilę... – kurczowo walczył z atakami ziewania – nie mogłem przestać rozmyślać...
 – Tu nie brak tematów do rozmyślań – zauważył Świrski, mieszając głośno łyżeczką w szklance. – Być może Zdzisław doszedł do wniosku, że lepiej opuścić leśniczówkę na czas krytyczny... – Palce Świrskiego wypuściły łyżeczkę.
 – Sześćdziesiąt pięć kilometrów na piechotę?
 – Mógł spotkać na szosie jakiś samochód.
 – O ile zdołałem zaobserwować, samochody na tej szosie stanowią niezmiernie rzadkie zjawisko. Ale nie wykluczam, że mógł spotkać. Chociażby... – Zawadzki wstał raptownie, odsuwając z hałasem krzesło. – Jak pan uważa, doktorze, czy nie należałoby o zniknięciu Zdzisława zawiadomić milicji?
 Kostrzewa postawił ostrożnie szklankę na spodku.
 – Powinno się zawiadomić.
 – Ja też jestem tego zdania, nie chciałem jednak bez porozumienia... Chodź – dotknął ramienia Świrskiego. – Pomożesz mi kręcić korbą tej piekielnej maszyny.
 Olbrzym podniósł się niechętnie.
 – Jakbyś sam nie potrafił – wyszedł jednak z nim razem.
 Kostrzewa upił łyk herbaty.
 – Jak to właściwie było z tą wycieczką Lesiewicza?
 Kopankiewicz zastanowił się.

– W ogóle nie wiedziałem, że zamierza wypuścić się gdzieś dalej. Ale rozmawiałem z nim bardzo krótko. Akurat Lola zawołała mnie na górę. Rozumie pan: drobne trudności z rozpakowaniem waliz. Sporo było z tym roboty, bo okazało się, że pewne rzeczy wetknąłem nie tam gdzie trzeba i nie mogliśmy ich znaleźć. W rezultacie zajęło to nadspodziewanie dużo czasu. Może godzinę, może nawet więcej. Gdy zszedłem ponownie, Zdzisława już nie było.

– Lola? – przeciągnął pytająco Kostrzewa.

– Moja żona.

– Nie uprzedzono pana o grożącym tu niebezpieczeństwie?

– Owszem, Jerzy ostrzegł, że może dojść nawet do jakiejś... katastrofy.

– I pomimo to przywiózł pan małżonkę?

– Przywieźć? – zakrztusił się. – Och... od razu widać, że pan jej nie zna. Nie należy do kobiet, które by można przywozić... – znowu spochmurniał. – Swoją drogą ani na chwilę żadne z nas nie przypuszczało, że zastaniemy aż tak makabryczną sytuację... Nie znaliśmy żadnych szczegółów. Usłyszałem je po raz pierwszy dopiero wczorajszej nocy.

– Dawno pan zna Lesiewicza?

– Dość dawno. Poznałem go przez Jerzego.

– Jakiego to rodzaju człowiek?

– Jak by tu powiedzieć...

– Chodzi mi o jego odwagę.

– Uważany jest za wyjątkowo odważnego.

– W takim razie pańskie przypuszczenie co do jego ucieczki...

– Tak – spojrzał bezradnie – rozumiem. Ale jakież może być inne wytłumaczenie tego zniknięcia?

– Niestety – Kostrzewa pogładził końcem palca obrus – mogą być inne.

Wrócił Zawadzki.

– Załatwione. Porucznik Kosiorek będzie tu z ludźmi za dwie godziny. Przywiozą ze sobą psa.

Kopankiewicz odetchnął z niekłamaną ulgą.

– Skoro mają psa policyjnego, z całą pewnością odnajdą trop. Prawda, panie doktorze?

Kostrzewa nie odpowiedział od razu.

– Chyba tak.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI